

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Posiedzenie pięciu akademij.— „Galerya akademików.”— Od nieśmiertelnych wycieczka do wieczności.— „Les Dons-Juans de Village” trzech aktowa komedia pani George Sand.— „Lilija japońska” jeden akt téjże.— „Teatr zupełny” téjże.— Odczyty Samuela Smiles wydane pod napisem: „Self-Help.”— „Ośm miesięcy w Ameryce” dwa tomy przez pana Duvergier de Hauranne.— „Fantazio” trzech-aktowa komedia Alfreda de Musset przedstawiona w Théâtre-Français.— Wiadomości literackie.

Miesiąc popisów szkolnych, sierpień, jest zarazem w Paryżu porą dorocznych posiedzeń wszystkich naukowych ciał i towarzystw. Instytut francuzki odbywa publiczne posiedzenia częściowo i zbiorowo. Po sessyi *Akademii nauk społecznych* nie odznaczającój się żadną nadzwyczajnością, nastąpiło posiedzenie *Pięciu akademij*, na którém wszystkie pięć działów Instytutu były reprezentowane.

Z kolei, prezydencya przypadła *Akademii nauk społecznych*; przedstawiał ją pan Lavergne w asystencyi pp. Mignet, Brunet de Presles i Laugier. Fotel pana Willemain pozostał próżny z powodu choroby, która wieczyste go sekretarza trzyma na łożu boleści.

Złożywszy najpierw należyty hołd pamięci zmarłych w ciągu roku członków instytutu, pan Lavergne sięgnął epoki założenia téj naukowej korporacyi. „Encyklopedia stała się żywą”, mówiono wtedy, ocena prawdziwsza dzisiaj niż wówczas, bo w miarę jak podział pracy rośnie, solidarność wszystkich usiłowań w dziedzinie umysłowej staje się ściślejszą. „Każdy z nas, mówił pan Lavergne, ma w ręku tylko gałązkę, ale połączenie tych gałązek tworzy jak w *Makbecie*, las idący.” Porównania malownicze i trafne, z tą różnicą, że pochod nauki nikomu nie sprawia tragicznego przerażenia Szekspirowskiego dramatu.

Posiedzenie *Pięciu akademij* powinnyby być najwięcej zajmujące, zwykle jednak przeciwnie się dzieje: uroczyste to zebranie bywa najmniej ciekawe. Każda akademія deleguje jednego z członków, który przybywa z odczytem ni-czém nie uwydatniając tój właśnie solidarności, o której wspomniał prezes. Streszczenie całorocznego ruchu i postępu nauki, literatury i sztuki, powinnyby być zadaniem członków zabierających głos na tém posiedzeniu a wcale tak nie jest; nie powiązane z sobą odczyty, ani wnioski, ani głębokie, czynią słuchaczom przykry zawód. Jestto wada programu tego posiedzenia. Ulepszenie chociaż konieczne, nie zostało dotąd wprowadzone, bo członkowie instytutu oburącz trzymają się tradycyi.

Pan Lavergne stwierdzając postęp jaki uczyniła sztuka wojenna, wyraził nadzieję, że kiedyś ludy współzawodniczyć będą jedynie w sztukach pokoju, czego Anglia daje przykład dokonywając w czasie wojny, ogromnego dzieła założenia pod oceanowego telegrafu.

Słodka nadzieja prezesa, w chwili kiedy wszystkie umysły zajęte tryumfem strzelb igłowych, zakrawała na utopią, co nie przeszkadza, że ten ustęp mowy pana Lavergne głośnie wywołał oklaski.

W dalszym ciągu prezes zdał sprawę z konkursu do nagrody Volneya przyznanej tego roku „*Grammatyce porównawczej języków indoeuropejskich*” pana Franciszka Bopp (*Grammaire comparie des langues indoeuropeennes*).

Fundacya Volneya dowodzi w sposób uderzający, w co się obracają z czasem systemata i kombinacye do uwiecznienia ich przeznaczone. Ustanowienie nagrody lingwistyki miało być wygraną teoryi, znajdującą niby wytłumaczenie ostateczne wszystkiego w pochodzeniu i stosunkach narzeczy. Spodziewano się uchylić tym sposobem zasłonę pokrywającą tajemnice świata i historyi. Na nieszczęście, lingwistyka okazała się nauką opartą na przypuszczeniach, dochodzącą tylko do prawdopodobieństwa. Nagroda Volneya wywołała wiele prac szacownych, ale żadna z nich nie zaspokoila wiedzy ani oczekiwania fundatora.

Po panu Lavergne zabrał głos Egger i odczytał rozprawę „*sur une renaissance des lettres grecques et latines au*

dix-neuvième siècle". Szanowny proffesor Sorbony twierdzi, że erudycya grecka i łacińska bardzo jeszcze kulawa i utyskuje że Champeliony, Burnoufy, Laplace i Ampèry wielką krzywdę wyrządzili skromnym reprezentantom filologii klassycznej. Skargi nie słuszne. Filologia klassyczna miała świetne czasy, ale przesadziła sobie ważność swoją. Postęp w każdej rzeczy odprowadził ją powoli na właściwe miejsce; a świat nic na tém nie stracił. Jeżeli filologia jest tak skromną, jak mówi Egger, powinna poprzestać na téj cząstce uwagi, którą jeszcze otrzymuje. Powinni być erudyci, ale świat już ich za przewodników nie bierze. Dawno minęły czasy, kiedy ludzkość zapalała się do papyrusów.

Z kolei, pan Lefuel z akademii Sztuk pięknych, czytał estetyczną rozprawę pod tytułem „*Considerations sur les principes et l'histoire du bas relief*.” Autor, pan Guillaume, porównywa płaskorzeźby do napisów i z tego punktu wyszedłszy, daje nauki rzeźbiarzom. Specyalny ten przedmiot nie zajął licznie zgromadzonej publiczności.

Potém pan Levesque członek akademii Nauk społecznych, pod tytułem „*Rivalités et concours des professeurs publics au quatrième siècle*” skreślił zasinuający obraz uczonych z téj epoki upadku. Szczegóły często komiczne rozśmieszyły słuchaczy, zwykle najlepiej się bawiących kosztem bliźniego.

Oczekiwano niecierpliwie łakoci, które podane być miały w końcu téj umysłowej biesiady. Fragment dramaty czny z *Galileusza* Ponsarda, odczytał w nieobecności śmiertelnie chorego poety, pan Legouvé, posiadający w wysokim stopniu talent deklamacyi. W ustach autora *Adriany Lecouivreur*, wszystko nabiera życia; wiersze Ponsarda przesłusznie się więc wydały. Słyszeliśmy ten ustęp, w którym Galileusz zamknięty w swój florencki pracowni, boleje nad wyrokiem potępienia wydanym przez ograniczonych. Ale zamiast osłabnąć pod sądem ciemnoty, nie zrozumiany, z zapalem na łono nauki powraca, po przez nieskończoność i piękność wszech świata, widząc Stwórcę co nim rządzi, mówi do swoich sędziów.

..... „Lancer vos anathèmes:
Je suis religieux beaucoup plus que Vous-mêmes?”

Po tém, mąż genialny, wzbiwszy się duchem po nad swych nędznych oskarżycieli, do nauki, swojej siły i pociechy się zwraca, mówi te piękne wiersze, które nam utkwily w pamięci:

„Science, amour du Vrai, flamme pure et sacrée,
Sublime passion, par Dieu même inspirée,
Contre tous les périls arme-moi, soutiens-moi;
Elève ma constance au niveau de ma foi;
Et puisse le bûcher expier mon génie
Avant que ton amant, Vérité, te renie!”

Galileusz Ponsarda ukaże się téj zimy na paryzkiej scenie. Daj Boże, żeby go autor widział. Ile sądzić można z jednego fragmentu, to dzieło dramatyczne stanie w pierwszym rzędzie pomiędzy tegoczesnemi i poziom sztuki podniesie.

— W chwili posiedzeń akademickich wyszedł z druku trzeci tom „*Galeryi akademików*” przez pana Vattier. Trudno sądzić społecznych luminarzy, trzeba do tego wielkiej niezależności i umiarkowania, dwóch rzeczy dość rzadkich pomiędzy piszącami. Pan Vattier posiada umiarkowanie, dlatego oceny jego do sprawiedliwszych się liczą. Tom trzeci teraz wydany, zawiera portrety pp. Sacy, Montalemberta, Juliusza Sandeau, Viennet i Renana.

Ani zléj woli, ani zakochania w ocenie tych ludzi nie ma. Autor sędzi ich nie powodując się prywata. Pan Vattier posiada jeszcze jedną zaletę biografa: pojmuje rozmaite umysły: rozbierając dzieła różnorodne z łatwością od jednego do drugiego przechodzi i staje na stanowisku autorów. Nie ma naprzykład dwóch ludzi różniejszych jak Montalembert i Viennet: nie wspólnego pomiędzy temi dwoma reprezentantami sprzecznych wyobrażeń. Vattier jednak z obuma się jednoczy: wizerunek poety Volterianina kręśli równie biegle jak portret obrońcy katolicyzmu.

W Montalembercie Vattier najwyżej ceni mówcę. Od pierwszego, powiada jego wystąpienia w Luxemburgu, przewidzieć było można, że Montalembert zajaśnieje jako retor, bronić będzie spraw przegranych z natchnieniem i zapalem. W pismach Montalemberta też same uderzają zalety co w jego mowach: zawsze znać silne przekonanie, zawsze też

sama gwałtowność w obronie klienta, zawsze duch niezgodny z duchem czasu, ale wzniosłemi broniący się sofizmami przeciw niezłomnym wyrokom Opatrzności.

Co do Vienneta, pan Vattier przyznaje że go wychowano w pojęciach przeciwnych temu akademikowi. Z wiekiem atoli, uprzedzeń się swych pozbył i podziwiać zaczął wytrwałość w pojęciach literackich i politycznych, przynoszącą zaszczyt dziekanowi akademii francuskiej. Nic rzadszego w naszych czasach jak charakter niezłomny, powiada Vattier, a ten Viennet posiada. Wierzy on mocno i szczerze w bogów swojej młodości, w poezję klasyczną, Voltaira i Boileau. Jestto syn ośmnastego wieku wśród nas zabłąkany. Dlatego ma fizyonomję oryginalną, w pismach i postaci odrębność, która na pierwszy rzut oka uderza.

Gdyby wolno było podchwycać przychyłne słówka krytyka, który usiłuje nie mieć żadnej stronniczości, powiedzielibyśmy że pan Vattier ma słabość do talentu i wyobrażeń pana Sacy, którego jednak jedynie z literackiego stanowiska ocenia. W panu Sacy widzi on brylant instytutu. Nie jest on sam tego zdania: wykwintne przymioty, które zjednały mu względy dworu francuskiego, tylko zawistnych nie zachwycają.

Autor „*Apostolów*” najniżej wydaje się być sympatycznym panu Vattier; chwali jako zmuszony. Jednak, zważywszy rozum i smak pana Vattier, podejrzewamy, iż ta oszczędność w wymierzaniu sprawiedliwości Renanowi, pochodzi więcej z obawy urażenia osób z którymi autor żyje, niż z własnego przekonania.

Juliusza Sandeau za to szczerze i bez ogródki wielbi. Sandeau należy do tych rzadkich ludzi, którzy nie schlebiąc nikomu, zachowują swoją indywidualność, wypowiadając swoje zdanie wyraźnie, często uszczypliwie, nie mają, mimo to nieprzyjaciół. Powodem tego, miara i władza nad sobą, które Goethe słusznie uważał za pierwszą zaletę pisarską. W mnogich pismach Juliusza Sandeau nie ma jednego brutalnego słowa, chłoszcze różgami, a każda prawda zwykle cierpka, u niego występuje w tunice ze złotego dowcipu, która jej nagość przysłania. Kto ma rozum, miarę i dowcip, ten wszystko powiedzieć może bez ubliżenia nikomu, a co większa, czasami może przekonać, kiedy kry-

tyka wbijająca spilki za paznokcie, albo łamiąca kość pa-
cierzową, nigdy nie nie poruszyła prócz żółci.

Przeglądając tę *galeryą* nieśmiertelnych, zadumaliś-
my się nad ich rolą i nad zadaniem nas śmiertelników.
Ktokolwiek zastanowi się spokojnie nad wieczną sprzeczno-
ścią ludzi, rozliczną ich nędzą, ruchliwością bezpłodną,
i rozważy to wszystko, wolny od szkolnego lub sekciar-
skiego ducha, dojdzie w końcu do straszliwego pytania:
na cóż więc jestem na tym świecie?

Kwestya ważna! o którą trzeba zapytać całej ludzkości.

Cała ludność globu wynosi około miliarda. Podzielmy
ją jako zgromadzenie obradujące, na *większość* i *mniejszość*,
i obaczmy najpierw z jakich żywiołów składa się każda
z tych części nierównych.

Większość zgromadzenia ludzkości obejmuje wszyst-
kich, którzy nie na to jedzą żeby żyli, ale na to żyją
żeby jedli, tudzież tych, co żyją aby żyć. Do téj ostatniej
kategorji należą nietylko dzicy, ale i ci wszyscy, którzy
w krajach oświeconych są skazani przez potrzebę praco-
wania, albo sami się skazują wyrafinowaném próżniactwem
na poddaństwo swoim potrzebom, rzeczywistym czy urojo-
nym, słowem, ci wszyscy którzy od dzikiego różnią się
jedynie pokostem cywilizacyi.

Są to aktorowie przechodni: pokażą się, chwilę pokręcą
i znikają ze sceny świata, nie zostawivszy żadnego jasnego
śladu swojego przejścia.

Taką jest ogromna większość ludzkości.

Średnia haraczu, który śmierć wybiera co dzień z mi-
liona dusz, czyni około 50,000 na całą ludność kuli ziem-
skiej. W tym stosunku dodając wszystkich ludzi zmarłych
od trzech tysięcy lat tylko, to jest od pierwszego brzasku
historji, dochodzimy bez żadnej przesady do blisko pięć-
dziesięciu pięciu miliardów... Z popiołów tych nieboszczy-
ków możnaby łańcuch gór usypać...

Ale porzućmy co mija, a patrzmy w to co zostaje.

Mysł, która odkrywa, wynajduje, doskonali i prze-
kazuje się, to nieśmiertelność nasza. Słownik historyczny
i biograficzny, przypuśćmy, najzupełniejszy, nie obejmie
więcej nad sto pięćdziesiąt tysięcy nazwisk; a trzeba jeszcze
od tego spisu odciągnąć legion bohaterów fałszywych, fał-

szywych wielkich ludzi, osób miernych, albo występnych, które raz wprowadzone do historii, w niej pozostały.

Po tém przebraniu, co zostaje? Zaledwie kilku ludzi godnych pamięci: mniej ich niż towarzyszków Leonidasa. Ci którzy nie tylko opromienili swoją epokę, naród, gałąź ludzkiej wiedzy, ale którzy pracami swojemi i odkryciami całej usłużyli ludzkości, ci, nie liczniejsi niż dostrzeżone z ziemi gwiazdy pierwszej wielkości.

W porządku fizycznym, mała ilość materji może wielkie sprawić zmiany: dowodem fermentacya. Taż sama uwaga da się zastosować do porządku moralnego. Przeobrażenia społeczności ludzkiej są dziełem niezmiernie małej mniejszości. Większość korzysta z postępu, ale go nie tworzy; przeciwnie: zamiast dopomagać do jego rozwoju, ona kamieniem się kładzie i na postęp nie pozwala. Związana z przeszłością, którą zastąpić trzeba, większość ograniczona lub ślepa, odpycha mniejszość nowatorkę, przygotowującą przyszłość.

Jednak, chociaż czynność mniejszości w pewnym okresie nieznaczna, postęp po przez wieki idzie sobie powoli po wygasłych pokoleń popiołach. Żadna moc ziemską go nie wstrzyma. Przeszkody i opory, które napotyka, wywołują tylko jego oscylacye, rodzaj ruchu, w którym podobna sobie cała natura.

Mało świeczników znanych na drodze postępu. Ale czyż promotorami oświaty są ci jedynie, których imiona zapisały dzieje? W roczniki historii powszechnej wciągniętoż wszystkie czyny, godne przejść do potomności? Nie, i ta właśnie niesprawiedliwość jest źródłem, w którym przednie strażę oświaty winny czerpać odwagę i krzepić siły.

Ludzkość byłaby godną litości, gdyby ci tylko dobroczyncami jej byli, którzy się sami nimi ogłaszają z podwyższenia.

W falandze to *nieznanych* należy szukać siewców bożych i tajemnicy ruchu osi postępu. Falanga ta jest wszędzie, gdzie niesprawiedliwość oburza, gdzie kłamstwo razi. Niewidoma jak myśl, obserwująca w milczeniu, zostawia swobodę każdemu, ażeby lepiej osądzić wartość wszech rzeczy. Jeżeli ją nadużycie rani, nie dopuści się jednak

gwałtu, siły siłą nie będzie pobijać, ale korzystając z nauk przeszłości, potrafi zwyciężyć inną bronią.

Nieznajomi dobroczyńcy ludzkości, nie mają nic wspólnego z temi, co spekulują na oświacie, spiskują, nie na to żeby lepiej zrobić, ale na to żeby się na miejscu obalonego. *Nieznani* o których mówimy, są panami położenia dlatego, że nie starają się o to; nie pnąć się w górę, świecą przykładem; nie żądając dla siebie nic, stanowią najwyższą instancją historyi i najniższą szkołę elementarną. Dla takich *nieznanych świętych*, kościół osobne święto postanowił i obchodzi je uroczystie pierwszego listopada, uznając, że ci są rzeczywistemi dobroczyńcami ludzkości co nie pragnąc sławy ani wdzięczności, pomagają bliźnim do *udoskonalenia*, będącego zadaniem nieśmiertelnych i śmiertelnych na tym padole płaczu.

Nowa trzech-aktowa komedia p. Sand przedstawiona w Vaudevillu pod tytułem: „*Les Dons Juans de Village*” upadła pierwszego wieczora, i byłaby pewno otwarcie wygwizdana, gdyby nie wzgląd na sławę autora tytu arcydzieł.

Pani Sand inaczej pojmuje zadanie i warunki teatru jak ogół francuzkich słuchaczy. Ztąd pochodzi, że sztuki jój, wyjąwszy „*Margrabiego de Villemer*” mają na scenie paryżkiej, co najwięcej, jak tu zowią, *succès d'estime*.

W nowém wydaniu *Zupełnego Teatru* swojego, George Sand wyłuszcza jak rozumie warunki komedii tegoczesnej i jak pragnie żeby ją pojmowano. Powiada, że pisząc dla sceny, zawsze usiłowała wprowadzić myśl widza w świat czystszy i wznioslejszy od tego, w którym żyjemy poziomo. „Zawsze mniemałam, pisze, że to jest cel teatru; że ten wypoczynek który tyle miejsca zajmuje w życiu cywilizowaném, powinien być aspiracją do rzeczy wyższych, poetycznym *majakiem* w pustyni rzeczywistości. Mając to przekonanie, nie studyowałam suchej rzeczywistości na to, żeby przedstawiać publiczności dagierotyp ran jój i nędzy. Ma jój dość przed oczyma. Szkoła pozytywizmu jest liczna: niektórzy wyciągają zeń potężne nauki, większość pokazuje jedynie szpetność i odrętvia. Inni, jeszcze występniejsi i dalej posuwający schlebianie zepsuciu, rozśmieszają publiczność, pokazując jój własne przywary.”

Słuszna definicya teatru. Nie ulega wątpliwości, że prawda której jest zwierciadłem, to nie powierzchowność rzeczywista, ale rzeczywistość w duszy ukryta. Gdyby celem sztuki było dokładne odbicie tego co widać, fotografia zdezonizowałaby malarstwo. Ale na wieczne upokorzenie maszyny, a na wieczną chwałę geniuszu artysty, fotografia kłamie: daje obrys, plan, wklęsłości i wypukłości, ale nie daje *wdzięku życia*; który nawet ołówek wielkiego artysty odtwarza. Portret jest często mniej podobny niż szkic zrobiony z pamięci, bajka często prawdziwsza niż prawda wyjęta z sądowego śledztwa.

Ale ta subtelna teoria, której George Sand nigdy ani na scenie, ani w książce nie ubliżyła, mniej się podoba niż grube antytezy i fotografie powierzchownej prawdy.

Rodzina Benoiton pełna słów prawdziwych a fałszywych położeń, komedia która za lat kilka będzie najlepszym dowodem literackiej i teatralnej niemocy, dziś daleko większe ma powodzenie niż *Wiejskie Don Juany* z pierwotną przedstawione prostotą. Biegli architekci sztuk oklaskiwanych, z politowaniem patrzą na tę sielankę, której moralnego sensu nie rozumieją. Nawet Fanfan Benoiton z uśmiechem spoglądał z łoża na małą żebraczkę, która swoją grą prostą i rzewną, ani połowy tyle nie pozyskała oklasków, ile on swoją bezczelnością i opilstwem.

Dwie te sztuki zestawione w jednym teatrze, tworzą sprzeczność gwałtowną. Ażeby mózdz jako tako przedstawić komedią p. Sand, aktorowie Vaudevillu musieli się, jak mówią, *odbenoitonować*.

Don Juan jest typem znanym we francuzkich siołach, tylko pod inném nazwiskiem: zwie się *kogutem*. Każdy prawie syn bogatego dzierżawcy jest takim. Jeździ po jarmarkach, zaleca się dziewczętom, nie zawsze uczciwie ale zawsze bezkarnie, przez wzgląd na majątek który wszystko usprawiedliwia. Don Juan wiejski jest sprawcą najszkaradniejszych wiejskich zbrodni; on dostarcza dzieciobójczyń gilotynie, ale że możny, solidarności nie bierze. Obojętność jego i twardość tak zuana, że nawet nie ma kłopotu pozbywać się ofiar, ani osuszać łez. Ofiary jego rozpusty żyją bez pociechy, nie mając komandora, któryby je pomścił chociaż po śmierci.

Jan Robin w komedyi p. Sand jest hersztem rozpustnej wiejskiej młodzieży. Z karczmy do karczmy jeździ, hula i niewinność gorszy. Jan postanowił zbałamucić Gerwazę, najpiękniejszą i najrozsądnieszą dziewczynę we wsi. Punkt honoru jego w tém, żeby ją uwieść jak najprędzej. W tym celu namawia kolegę, żeby zwabił Gerwazę do ogrodu, a tam on już sobie z pomocą czarta poradzi.

Ludzie, czy to w mieście, czy na wsi, grzeszą jedynie przez próżność. Nie każdego stać na wiele przywar, ale próżność jest silną gałęzią, na której kwitną i dojrzewają grzechy, będące tylko odrostami samolubstwa. Jan w grzechu swoim znajdzie swoją karę i odrodzenie.

Gerwaza wciągnięta w zasadzkę i w oczach ludzi zniesławiona, z pogardą odpycha Jana. On, który się oparł urokowi piękności i wpływom cnoty, on który w obec niewinności niewydozbrał, czuje się zwyciężony, zmuszony do uczuć prawdziwych, do miłości i zazdrości przez upokorzoną dumę. Zraniona próżność aż do serca czyste dopuszcza technienie: i jeżeli Gerwaza gardzić nim będzie, on się zabije... Gerwaza kocha go i zostaje jego żoną.

Taka w kilku słowach treść sztuki. Don Juan odkupiony przez miłość której nadużył, to myśl ogólna, warta zapewne więcej niż ogień piekielny i diabeł otwierający podłogę pod sławnym uwodzicielem.

Ładna jest scena, kiedy Jan Robin w chwili popełnienia złego uczynku, daje jałmużnę biednemu dziewczątku, które nędza z domu wygnała. Łzy sieroty rozbrajają pysznego samoluba, co dowodzi że jeszcze nie zupełnie zniczemniały, że człowiek zawsze równie blisko zbawienia jak zguby; że zupełnie skamieniałych serc nie ma; że nawet w chwili najmocniej rozbudzonych złych instynktów, są dobre, z których może skorzystać sumienie.

Nauka areymoralna. Ale dzieło tak oderwane od małych namiętności i wielkich kokieteryi społecznych, że nie może być przez ogół zrozumiane.

Artysta ten tylko słuszny zarzut może uczynić pani Sand, że jej Don Juan wiejski nie jest powabny — a powab zewnętrzny jedynie znośnym czyni takiego człowieka. Don Juan Moliere jest zimny, twardy samolub, brutal, sceptyk, wyszydający wszystko co ludziom święte. Zkąd więc po-

chodzi; że go znosimy na scenie? Dlatego, że to zepsucie mieszka w wykwintnej formie. Dlatego, że Don Juan pańską miną, wytworném obejściem, porywającą wymową, pogardą rzeczy ludzkich, rycerską odwagą i wyniosłym szyderstwem, czyni wrażenie jakiegoś nadzwyczajnego tworu. Przebaczasz mu wiele, bo czujesz że tak bogata natura stoi po nad prawami rządzącemi resztą śmiertelników.

Owoż Don Juan pani Sand ma wszystkie przywary Don-Juańskie, a żadnych zalet, któreby go usprawiedliwiały. Chcesz być łotrem, bądźże przynajmniej ogładny i przyjemny. Jan nie umie nawet mówić po francuzku: uczucia swoje beryszonśkiem wyraża narzeczem.

Taki brak wykształcenia razi podwójnie w osobie mającej pojęcie, które daje jedynie wyrafinowane wychowanie pańskie.

Jestto błąd wielki, jeżeli osoby sztuki tytułu jój wymówić nie mogą: w całej tój gromadzie Beryszonów nie ma jednego, któryby słyszał o Don Juanie. Szkoda, że p. Sand nie nazwała swojego bohatera *Kogutem*: pod tą nazwą język, stroje, w mniejszej pozostawałyby sprzeczności z pojęciami i pragnieniami przedstawionych figur.

Za wstęp do Don Juanów służy jedno-aktowa komedia téż p. Sand, pod tytułem: „*Le Lys de Japon*.” Ten wstęp, tak zwane *lever de rideau* jest ładną salonową sztuczką zdolną zabawić najwykwintniejsze grono. Osnowa taka:

Julian, malarz bogaty w talent a w złoto ubogi, zakochał się zdaleka w wielkiej damie, do której nigdy zbliżyć się nie ma nadziei. Jedyném szczęściem jego z okna patrzeć niepostrzeżony na piękną margrabinę właścicielkę domu w którym mieszka.

Pewnego ranka margrabina stuka do drzwi jego... malarz z bijącym sercem otwiera—ale cóż... pani przybywa wypowiedzieć mu mieszkanie: pawilon jój się podoba i nie widzi potrzeby wynajmowania go obcemu.

Julian *obcym* być przestaje skoro margrabina spotyka jego zakochane oczy. Pani od razu zgaduje dla czego młodziencowi tak chodzi o pozostanie w tém mieszkaniu: widnokrąg który jemu tak się podoba, to jój ogród, to ona.... Ale właśnie odgadłszy powody wynajmować mieszkanie,

to prawie przyznawać się do wzajemności... Widząc jednak żal jego, pozwala zostać, z warunkiem, że zamuruje to okno na ogród. Julian w rozpacz! Cóż mu już po tém mieszkaniu, jeżeli w niem nie będzie promienia z niebios, który doń wnikał codziennie... Pozostanie jednak, choć w więzieniu, byle blisko niej...

Wydając rozkaz zamurowania okna, margrabina w pokoju się rozgląda i spostrzega śliczną lilią japońską kwitnącą w pracowni. Podziwia kwiat wspaniały... Julian go zrywa i ofiaruje jej... Ona zmieszana przyjąć nie chce—w tém drzwi się otwierają i słychać okrzyk przestachu... Ten kwiat rzadki pożyczył do odmalowania Julianowi wuj jego, zajadły botanik, który gotów go wydziedziczyć za taką psotę. Przeczuwa to przyjaciel malarza, Marceli, i z rozpaczą załamuje ręce. Julian o fortunę nie dba... dla niego fortuną uśmiech margrabiny, przyjęcie tego kwiatu... Kiedy go nie chce, co mu po pieniądzach, co mu po łasce lub niełasce wuja.

Szałeństwo miłosne prędzej wiedzie do celu niż rozsądek. Margrabina wzruszona bezinteresownością młodzieńca, postanawia naprawić wszystkie krzywdy, które wyrządziła. Najpierw oddaje mu swoją rękę, mając nadzieję że wtedy wuj okrutny da się ubłagać i przebaczy złamanie japońskiej lilii.

— Rozpoczęta u Leviego publikacya „Zupełnego Teatru” pani George Sand, zajmie 4 tomy małego rozmiaru trzech frankowego. Pierwszy obecnie wydany zawiera: „*Cosima*” komedya w 5-ciu aktach przedstawiana w 1840 r. w Théâtre Français; „*Le Roi attend*” prolog przedstawiany w tymże teatrze wtedy zwanym „*théâtre de la republique*” 9 kwietnia 1848 r. „*François le Champi*” grany w Odeonie 1849 r. „*Claudie*” w Porte-Saint-Martin 1851; „*Molière*” w Gaité 1851.

Z tych pięciu sztuk dwie są popularne: *Champi* i *Claudia*. Trzy inne mniej znane. *Cosima* piękna do trzeciego aktu; przedmiot rzewny i poetyczny; styl przesłiczny—ale rozwiązanie zmatowane.

Molier wcale się nie udał. Krótko téż bardzo pozostawał na afiszu w Gaité. „*Le Roi attend*” jest tylko pro-

logiem, ale trafiającym prosto do serca. Co będzie w następnych tomach — nie wiemy. Skoro się pojawia, nie omieszkamy pomówić na tém miejscu o całości, będącej jedyną trwałą gałązką dzisiejszego teatru francuzkiego.

Pan Talandier przetłumaczył na język francuzki angielskie odczyty Samuela Smieles, znanego filantropa-ekonomisty, który niepospolite zdolności swoje oddaje na korzyść klasy roboczej.

Rozpowszechnione w Anglii zamilowanie poważnych książek jest pewno jedną z przyczyn siły społecznej Anglików. Czerpią oni z czytania myśli zdrowe, zasady mocne, kiedy Francuzi czytają tylko romanse źle pomyślane i źle napisane, które zapełniają *susowe* dzienniki, stanowiące teraz strawę umysłową francuzkiej powszechności. Francuzi czytają dla zabicia czasu; Angliecy dla nauki, nawet w dniach odpoczynku, nie chcąc uronić ani jednej chwili czasu, téj drogiej materji z której życie zrobione.

Inicyatywa wydawnictw użytecznych zawsze tu z Anglii przychodzi. Paryż zawdzięcza jój już *Magazyn Malowniczy* wydawany na wzór *Penny Magazine*. Przekład pana Talandier poznajamia obecnie francuzką stolicę z najpopularniejszym teraz z angielskich pisarzy.

Pan Smiles powołany na kierownika młodych wyrobników, którzy chcieli sami nad sobą pracować, wywiązał się z zadania w sposób uderzający. Odczyty jego, rady poparte przykładami, wywarły na uczni wpływ ogromny. Odczyty Smiles'a stały się sławne w Londynie. Ukończywszy kurs, professor wydał w jednym tomie swoje lekcye p. n. „*Self-Help*.”

Rozkupywali książkę bogaci i ubodzy — światli i ciemni czytali ją uważnie; w ciągu roku miała 16 wydań. Równocześnie z wydaniem 17-m ujrzano nowy dom na Blackhoath, a na nim napis: „*Zbudowany za dochód z Self-Help*.”

Odczyty swoje Smiles osnuł na biografjach. Nie porzestając na życiorysach sławnych Anglików, z francuzkich znakomitości wyciągnął naukę wykazującą, jakie rezultaty otrzymuje człowiek z pracy, pełnienia cnot i silnej

woli. Smiles nie ogranicza się na jałowem wielbieniu wielkich mężów: z ich przykładu daje przepis korzystny dla każdego. Kształcić ludzi, obywateli, wskazać każdemu jak ma uprawiać swój umysł, klarować sąd—jakie są mężkie cnoty wiodące do sławy, powodzenia, a przynajmniej do niezawisłości i szacunku bliźnich, oto zadanie Smiles'a. Jakąż różnica od privat-docentów paryzkich, którzy całą zimę pod pozorem nauki, zabawiali albo nudzili Paryż drobiazgami!

Self-Help bez przesady nazwać można kodexem moralności. Znajdujemy tam na każdej karcie głęboką naukę życia i warunków zapewniających szczęście jednostkom i społeczeństwu. Autor stara się rozwijać siłę wewnętrzną i wytrwałość. „Trzeba, powiada, nie tylko kuć żelazo póki gorące, ale kuć póty aż się rozgrzeje. Zdumiewająca rzecz, co mogą dokonać ci, którzy umieją spożytkować nawet krótkie wolne chwile jakie tracą próżniacy.”

Na poparcie powyższych słów, Smiles przytacza Ryszarda Foley.

Foley żył w wieku XVII-ym. Był on wyrobnikiem w fabryce gwoździ w Stourbridge; przykładał się dzielnie do roboty, nie tracąc jednak z oka wszechrzeczy. Onego czasu Anglia nie mogła wytrzymać współzawodnictwa z produktami metalurgicznymi Szwecyi z powodu nieumiejętności odłączania żelaza od rudy. Ryszard Foley postanowił zbadać proceder dający pierwszeństwo Szwecyi.

W XVII wieku komunikacye nie były łatwe; nie znano wystaw powszechnych, które dziś całej ludzkiej rodzinie pozwalają uczestniczyć w dokonanym postępie przemysłu. Wtedy ciasny, źle zrozumiany patryotyzm, każdemu kryć się kazał z odkryciami. Było nawet pod karą śmierci zakazane wydawać tajemnice fabryczne.

Przedsięwzięcie Ryszarda było więc bardzo niebezpieczne; ale dla dusz silnych, przeszkody są podniętą. Ryszard nagle zniknął z Stourbridge: przez parę lat wcale o nim nie słyszano. Nie mając pieniędzy, dobrał się jednak do portowego miasta, gdzie się zaciągnął jako majtek na okręt płynący do Szwecyi. Tam jedynym sposobem utrzymania jego były skrzypce. Grając po drodze, o żebranym chlebie doszedł do Dannebora, kopalni żelaza pod Upsalem.

Udając ograniczonego prostaka, pozyskał łaski górników przygrywał im na skrzypcach, a patrzył bacznie na ich pracę.

Pobywszy tam czas długi, grajek zniknął znowu z kopalni i powrócił do Anglii. Tam zaraz zdał sprawę z podróży kapitalistom i otrzymał potrzebne pieniądze do założenia kuźni i konstrukcyi nowych maszyn do topienia żelaza. Założono kuźnię, zbudowano maszyny, ale te okazały się złe...

Co począć? Każdy inny na miejscu Ryszarda byłby opuścił ręce zniechęcony. Mniemano, że tak zrobił, bo opuścił fabrykę. Ale Ryszard nie dał za wygrane. Zdjął surdut, wdział znowu łachmany, podjął porzucone skrzypce, i poszedł do Szwecyi napowrót, w postaci żebraka. Tę razą górnicy w Dannemora przyjęli go jak przyjaciela, otworzyli mu serca i pracownie, z których już nie wyszedł aż całkowicie poznawszy tajemnice i wyrysowawszy dokładnie maszyny.

Tak przed laty robotnik angielski zupełne odniósł nad Szwedami zwycięstwo.

Nie wchodząc w to, czy dobrze czy złe czyni człowiek dochodzący podstępem do celu, Smiles sławił tylko energią i wytrwałość, której Ryszard w tym wypadku dowiódł, a którą naśladować winien kto chce dojść do czegoś. Zbyt często, mówił, jesteśmy podobni do dzieci, które posiawszy ziarno, zaraz grzebią w ziemi żeby zobaczyć czy wschodzi. Zapominamy, że bez cierpliwości i ciągłego wyteżenia, człowiek chociażby najlepiej przez naturę obdarzony, nie wielkiego ani użytecznego nie dokona. „Świata na przód nie popychają geniusze, pisze Smiles, ale umysły obdarzone silnemi zdolnościami zwykłemi, pracownicy, których wytrwałości nic nie zmoże, którzy do dzieła swojego przykładają się z wolą, nie dającą się zniechęcić żadnej trudności.”

Nie ma rzeczywiście większego dobrodziejstwa jak posiadanie walecznej duszy. Kiedy nawet człek ginie w walce, to wielkie zadowolenie uczuje, pomyślawszy że zrobił wszystko co mógł. Nic szczytniejszego jak widok człowieka, co cierpliwość przeciwstawi boleści, zwycięża przez siłę własnego charakteru; a kiedy nogi już go nieść nie chcą, jeszcze idzie podtrzymywany mocą ducha.

Ale energiją i moc woli, stanowiące wielkość duszy ludzkiej, potrzeba skierować do celu godnego usiłowań człowieka. Ażeby ten cel widzieć, każdy musi pracować nieustannie nad swoim rozwojem umysłowym i moralnym. Nie rozumiemy przez to, żeby się opychał niestrawną nauką; wychowaniem najwyższem nie jest to, które się nabywa z książek, ale to co sobie człowiek sam daje. Nie dość nabyć myśl, trzeba ją strawić, przyswoić sobie. Wiedza sama, jeżeli nie jest mądrze kierowana, może stać się niebezpieczną i szkodliwą. „Powinniśmy, powiada Smiles, *być, i czynić*, a nie zaspakajać się czytaniem i rozmyślaniem nad tém, *czém byli i co zrobili* drudzy”.

Mądra ta rada zwraca się, nie zapominajmy o tém, do klasy roboczej. Smiles nieraz już zajrzał oko w oko straszniemu Sfinxowi pauperyzmu. Z odwagą człowieka dobrej woli, ze szczerością światłego przyjaciela, oświadczył wyrobnikom, że w sobie samych a nie w urojonych reformach, powinni szukać lekarstwa na to, co im dolega. *Oszczędność i oględność*, oto dwie cnoty, których praktyka może doprowadzić wyrobnika do prawdziwej niepodległości.

Angielski ekonomista-filantrop, nie uczy jednak wielbić złota; nie każe tylko niem pogardzać, jak to czynią filozofowie. Zysk uczciwy jest szanowny: wyobraża on przymysł cierpliwy, wytrwałe usiłowanie, zwyciężoną pokusę.

Dobry użytek pieniędzy nie mniej jest ważny: zapewnia dobry byt rodziców, wspiera szlachetność charakteru, dowodzi porządku i trzeźwości. Słabość, nieogłędność, bezład, oto trzy wady, które powinien najpierw pobić kto chce stać o swą moc: to są wrogi, które spychają ludzi w otchłań cierpienia i niewoli.

Cobden mówił kiedyś wyrobnikom: „Świat zawsze był podzielony na dwie klasy: oszczędnych i rozrzutnych. Wszystkie wielkie dzieła, które się przyczyniły do oświaty, są utworami tych, co umieją oszczędzać; tych niewolnikami byli też zawsze rozrzutni. Prawo natury i Opatrzności chce, żeby tak było. Byłbym kłamcą, gdybym członkom jakiegobądź klasy kazał się spodziewać, że polepszą doleg swoją pozostając nieogłędnymi, rozrzutnymi i leniwymi”.

Tak więc, w ulepszeniu moralnem i umysłowem mass leży tajemnica prawdziwej reformy społecznej. Daremnie

kłaść podwaliny ustaw dobrych: na nic się to nie zda, jeżeli rozwój narodu nie odpowiada widokom prawodawcy. „Wolność jest dobrem, które trzeba zapłacić bogom nieśmiertelnym“ powiedział Montesquieu. Zapłatą tą, są skromne enoty każdego obywatela: zaparcie siebie, ład, praca. Smiles téż ma słuszość kiedy powiada, że rząd narodu jest zwykle obrazem: odzwierciedleniem składających go jednostek. Każdy rząd wyprzedzający lud, będzie cofnięty, tak jak ten który jest zacofany, musi być naprzód pociągnięty. Swoboda nie wynika z politycznego, ale z moralnego wzrostu.

Ernest Duverger de Hauranne, jeden z głównych współpracowników zakazanego *Kuryera Niedzielnego*, (*Courier du Dimanche*) wydał w dwóch tomach dzieło niepośledniej wartości pod napisem „*Huit mois en Amérique*“.

Ośm miesięcy! To zaledwie czas potrzebny do oprzytomnienia Europejczykowi rzuconemu w chaos nowego świata. Pierwsze wrażenie przybywającego ztąd do Ameryki człowieka, jest zawsze rodzaj strachu. Hałas przemów pamfletów, mityngów, sekt religijnych, stronnictw politycznych, ścierających się i gmatwających wyobrażeń, oszałamia Europejczyka. Każdy tam wyraża myśl swą bez ogródki, atakuje władzę i jednostki; uczucie uszanowania nie znane, a działalność gwałtowna porywa w ogromny wir swój wszystko, co się przybliży... Europejczyk traci głowę wśród tego wszystkiego... naród ten wydaje mu się rozbrykany, a kraj taki, wieżą Babelu, zbiorem awanturników, którzy wyrwawszy się z przegródek stariej społeczności, za oceanem schadzkie sobie naznaczyli.

Ale ten chaos powierzchowny, pokrywa porządek prawdziwy, porządek który opisał Tocqueville przed trzydziestu laty, chcąc dać rodakom nie wizerunek Ameryki, ale teorią tego kraju, a wedle niej teorią demokracji. Dzieło Tocquevilla jest ewangelią młodej Francji. W swoim rodzaju, jest to arcydzieło: akademik wyłożył zasady i zastosowanie ustaw amerykańskich, naukowo, ale życia rzeczywistego tam nie ma. Pan Duvergier zajmuje się niém głównie, dlatego książka jego jest poniekąd komentarzem do tekstu Tocquevilla.

Za dni naszych ludzie nie ufają szerokim poglądom na całość, woła szczegóły mniej piękne, ale dostępnejsze. Ztąd powstały relacye podróżnych, którzy bez planu spisują wszystko co widzą i słyszą, a powróciwszy wydają książkę mieniącą się, jak korespondenecye dziennika.

Tak pisał z dnia na dzień p. Duvergier, podróżując w czasie wojny po Ameryce, gdzie z kolei uchodził to za francuzkiego *lorda*, dentystę, szwedzkiego emigranta, korespondenta *Times'a*, albo romansopisarza. Podróżując w chwili najzaciętszej wojny, kiedy jeszcze rozwiązania przewidzieć nie było można, widział jasno, co nie małym jest dowodem przenikliwości autora, a w czytelniku zaufanie budzi. Pan Duvergier nie rości prawa bynajmniej do neutralności w sprawach ludzkich, będącej teraz oznaką po której poznają siebie geniusze. Nie spoziera jak historyk świata chłodny, z wysokich szczytów na które nasi olimpijsey krytycy niezmiernie wdzierać się lubią, czasem dla tego, żeby czego nie oberwać, wmieszawszy się w kłótnie śmiertelników. Ta świeżo rozwinięta filozofia, która teraz popłaca w Europie, w Ameryce mogła zaprowadzić na szubienicę. Duvergier tedy najotwarciej za sprawą północy obstaje i w jej zwycięstwo wierzy. Ciekawy jest jak człowiek bywa w wieku, kiedy dusza jeszcze mieszka w oczach, kiedy świat dlań nowością, kiedy przyjemność widzenia zajmuje całą jego głowę nie osłabioną brzemieniem wspomnień, ani sparaliżowaną lenistwem ciała; kiedy myśl własna jeszcze na drugim planie, tylko czasami głos podnosi ze skromnością starożytnego chóru.

W opisach jednak autor się nie gubi: obrazy odbite w młodej wyobraźni, same fotografują się na papierze. Opisowość zresztą nie byłaby wadą w tej książce: Ameryka jeszcze nas nie znudziła. Ale podczas bitwy malować pejzaże, może jedynie występny indyferent: p. Duvergier nie jest takim, więc tylko podał szkice potrzebne do rozpoznania się na teatrze wojny.

Polityka była jedynym magnesem ciągnącym Paryżanina do Stanów Zjednoczonych. Każdy kraj posiada swój wydział nauczania, i swoich pielgrzymów. Dla miłośników malowniczości i sztuk pięknych, nie ma jak Włochy i Hiszpania. Ci którzy pamiętek odległej starożytności

szukają, lubią gubić się w wieków pomroce, jeżdżą do Egiptu, Syrii i Palestyny, rozmyślać na gruzach Palmyry, albo Babilonu. Niespokojni artyści i spokojni uczeni, którym zazwyczaj polityka bróździ, nie dla siebie nie znajdują w Ameryce. Ale tam jechać powinien kto chce badać warunki bytu społeczności demokratycznej, swobodnej. Francuz mianowicie znajdzie tam dla siebie nauki: jako syn kraju demokratycznego wyobrażeniami, a arystokratycznego formą. Znajdzie sposobność porównywania na każdym kroku. Tocqueville rzeczywiście o Francyi, pisał pisząc o Ameryce. Porównywał ustawicznie, chociaż niepodobna zaprowadzać paralell pomiędzy francuską a amerykańską demokracją; można jedynie wskazać różnicę jednej i drugiej, tak pod względem ustaw jak ludzi.

Co do ludzi, ta największa, że tam oni wierzą w siebie, a tu nie wierzą w nic. Wiarę Amerykanów we wszystkich warstwach społecznych, sprawdził p. Duvergier: obozował on z żołnierzami; przestawał z ludem zalewającym parowce i drogi żelazne; poznał także świat piękny. Owóż to jest rzeczą pewną, że w tym narodzie, który w naukach społecznych tak daleko wyprzedził Europę, grunt jest jeszcze bardzo naiwny.

Społeczność nowego świata utworzona ze szczątków starych społeczeństw, ma w sobie coś starożytnego: uderza to w potęgę jego namiętności i szczerości. *Szyderstwo* wcale tam nie znane. Każdy wierzący w siebie wierzy łatwo w drugih. Poeta Longfellow naśladował Goethego, próbował wyrazić niektóre choroby naszego świata starego; ale wiele czasu jeszcze upłynie zanim *Faust* i *Hamlet* otrzymają naturalizacyą w Ameryce; niewątpliwie obaj zostaną tam cudzoziemcami, dopóki czynność, duch przedsiębiorstwa, potężna wiara w siłę własną, będą głównymi cechami charakteru Amerykanów.

W Europie przeciwnie. Niemoc jednostki, dysproporcya każdego człowieka z siłą ześrodkowaną mass, poczucie własnej bezsily, czyni starców i szyderców. Wszystko nas zawiodło, więc szydzimy ze wszystkiego; kto bądź w siebie wierzy, wywołuje uśmiech na usta bliźniego; litują się nad jego szaleństwem, nad jego przyszłością... Nieufność w siebie i drugih, uczy starannie kryć swoje namiętności,

uczucia i pragnienia, uczy przysłaniać je zatartą frazeologią, która czyni je niezrozumiałe, nieszkodliwe i niepo-
mocne.

Amerykanie, jak wyżej powiedziałem, nie mają uszanowania; p. Duvergier twierdzi, że nie znają także wżgardy: nienawidzą siebie i nieraz lżą się namiętnie, ale nie gardzą sobą i nie wyszydzają się nigdy.

Ta różnica ma następstwą ogromne w życiu publiczném, nieprzebyty przedział kopie pomiędzy demokracją francuską i amerykańską.

W pierwszym rzędzie organów życia publicznego w Ameryce stoją stronnictwa. Tu wolność ma zakwitnąć skoro one wygasną: tak jakby stronnictwa nie były wieczne jak różnica dusz, sprzeczność interesów i zwady które codziennie wywołuje istnienie uorganizowanej społeczności.

Obok stronnictw, pan Duvergier jako sprężynę życia publicznego w Ameryce, stawia wychowanie wolne od religijnej wyłącności a nawet przewagi. Trzecią sprężyną jest zupełna swoboda w *testowaniu* (1), czego tu nie ma, a co jest ogromną dźwignią społeczną, bo napędza do pracy: przy takim prawie, każdy musi, chociażby miał najbogatszą rodzinę, *rachować jedynie na siebie*, i przez przezorność, opatrzyć się w sposoby stawiania czoła rozmaitym kolejom życia.

Nie małe to sprzeczności pomiędzy Francją i Ameryką. Ale największą, wolne ustawy na których się Ameryka oparła, a które nie są wcale wygodne ani miłe, ale stojące jedynie na surowej cnocie, obywatelskiem poświęceniu i ściśle zachowanej różnicy pomiędzy *wolnością* i *dobrocią*, dwoma wyrazami, które w Europie jedno i to samo znaczą.

Dramatyczny obrazek Alfreda de Musset, jego „*Fantasio*” zaledwie jedną nogą dotykający ziemi, wyszedł z książ-

(1) Rozporządzenie majątkiem swoim w testamencie bez żadnego ograniczenia.

P. R. B. W.

żki i ukazał się w teatrze francuskim. Ileż musieli się namozolić prozaicy, ile poczynić odcinków i dodatków, żeby ten utwór niesforny, nagiąć do kształtu sceny.

Wielbiciele Musseta podzielili się na dwa obozy: jedni ganią dyrektora francuskiego teatru, pana Thierry, że śmiał przeistoczyć *Fantasia*, drudzy przeciwnie, wdzięczni mu są za to, iż umożliwił przedstawianie tej, nie dla sceny napisanej, komedyi. Należąc do pierwszego obozu, wyznajemy otwarcie, że lepiej było nie wyciągać z książki *Fantasia*. Sława Musseta nie potrzebuje pośmiertnej wystawy, dość jasno świeci z za grobu.

Już zeszłego roku przedstawienie *Carmosiny* w Odeonie, okazało, że takie wciąganie gwałtem na scenę dzieł nie dla niej przeznaczonych, częstokroć może ubliżyć autorowi. Ale czyż dyrekcji teatru o Musseta chodzi? chce ona exploatować jego imię i wabić jak najwięcej publiczności, a co z tego dla poety wyniknie, to już mniejsza o to.

Musset nie był dramaturgiem: usposobienie jego sprzeciwiało się temu. Wyjąwszy też *Kaprysy* i ładnej komedyjki „*Il faut qu' une porte soit ouverte ou fermée*” nie ma w dziele autora „*Rolly*” utworu, któryby się nadawał do sceny. Ładna w książce fantazyja *les Caprices de Marianne*, w teatrze zimna jak lód się zdaje. Musset był poetą czysto lirycznym, a z samego liryzmu sztuki nie zbuduje. Skoro Wiktor Hugo pisze dramat, chociaż liryk, zadaje sobie pracę zbudować ją wedle przepisów rzemiosła. Dlatego też w repertuarze pana Deunery uchodzącego za najlepszego cieślę teatralnego, nie znajdzie sztuki lepiej zbudowanej, ani jak mówią Francuzi, mocniej stojącej na swoich nogach, jak na przykład *Maria Tudor*. Nie wszyscy atoli lirycy chcą i umieją jak Hugo, być na chwilę realistami. Schodzić do szczegółów, zazębien, węglów i krokwi, poeci nie lubią: to rzecz wiadoma. Ale bez tego, dramaturgami być nie mogą, dowodem Słowacki, tak dramatyczny, a nie dramaturg. Z tego punktu widzenia, pomiędzy autorem *Balladyny* a autorem *Fantasia*, zachodzi wielkie podobieństwo. Zauważaliśmy je już dawniej, teraz czytanie trzeciego tomu *pism pośmiertnych* Słowackiego złożonego z samych utworów scenicznych, utwierdziło w nas to przekonanie. Można by przeprowadzić długą paralellę pomiędzy

dramatycznymi szkicami Musseta, a takimiż fragmentami Słowackiego, jego *Fantazym*, a *Fantaziem*, *Beatryxą Cenci* Juliusza, a *Porcią* Alfreda, ale porównanie tych dwóch genialnych naśladowców Bayrona i Szekspira, zaprowadziło by nas zbyt daleko. *Kronikę paryżką* pisząc, nie krytyczny rozbiór, wracamy do teatru francuzkiego.

Fantazio Alfreda de Musset, figura przedziwna ale sztuczna, należy do rodziny *homunkulów*, którychto alchemiści fabrykowali z czarownej mieszaniny, a karmili wodą różaną. Kwaterka szampańskiego wina, obłoczek niemieckiego tytoniu; ziarnko szaleju, szczypta marzeń, Iza Obermanna; splen Bayrona, technienie Szekspira: takie są żywioły z których ten subtelny twór złożony. *Fantazio* sam przez się nie istnieje: jestto tylko błyszcząca marionetka, którą poeta trzyma za faldy, są to tylko żywe skrzypce na których on gra waryacje.

To stanowi niższość *Fantazja* od błaznów Szekspira z których pochodzi w prostej linii, jak wszyscy prawie *kochankowie* Musseta. Tamci mają swoje własne istnienie, nie zdają się stworzeni sztuką, ale siłą ducha z krwi i ciała zrobieni. Błazny Szekspira z koła prawdy nie wychodzą: dowcip ich z ich charakteru strzela jak iskry z ogniska.

Mercutio, na którego Musset *Fantazia* wzorował, ma wybitną indywidualność, niby to figura arabeskowa, a narysowana wyraźnie jak portret. Jestto pół-bóg szyderstwa dotykający ziemi tylko końcem tańczącej stopy i ciskający światu z góry, ruladę natchnionego śmiechu.

Wesołość *Fantazia* pożyczana, werwa wymuszona, monologi wyuczone napamięć: czy w studenckim, czy w błazeńskim stroju, *pozuje*. Widzisz go zawsze stawiającego rusztowanie fajerwerku, który w parę minut później zapali.

Natomiast oderwanych ustępów ślicznych, mnóstwo! mnóstwo polotów porywających nagle myśl z ziemi w лазур poezji, takimi perłami ta komedia nasadzona. Do ich rzędu należy obrazek *Strzemiennego*, który *Fantazio* pokazuje koledze prześpiwawszy jakąś miłosną balladę.

...Czy znasz Sparku piękniejszą piosnkę jak ta portugalska? Ilekróć przyszła mi na myśl, zawsze miałem ochotę kochać kogoś... Kogo? nie wiem, jakąś nadobną dziewczynę, coś słodkiego jak wietrzyk zachodni, bladego jak

promień księżyca, zamysłonego, jak dziewczęta usługujące we flamandzkich obrazach, które strzemienne dają podróźnemu w ogromnych butach siedzącemu prosto na wielkim białym koniu. Jaka to piękna rzecz strzemienne! Młoda kobieta na progu domu, w głębi izby widać pałacy się ogień, gotową kolację, uśpione dzieci... cały spokój cichego i kontemplacyjnego życia w rogu obrazku. A tam mężczyzna jeszcze zadyszany ale pewny na siodle, co już ujechał mil dwadzieścia a jeszcze ma trzydzieści. Kieliszek wódki daj i bądź zdrowa! Tam noc czarna, niebo groźne, las niebezpieczny. Kobieta wie, chwilę oczyma za podróźnym, a potem, wracając do ognia, rzuca tę szczupłą jałmużnę ubogiego: Niech cię Bóg strzeże!"

Nadobną postacią całej komedyi jest także Elżbieta córka króla Bawarskiego: narysowana tylko z profilu, ale ten profil dziwnie szlachetny! Jak Ifigenia na stracenie, tak ta Elżbieta przez ojca przeznaczona na zameście stanu. Królowna z rezygnacją na śmierć serca swojego przystaje. Posłuszeństwo dla ojca, uszanowanie tronu dławi skargę w jej piersiach. Wychowana w świecie w którym przyzwoitość instynktu tłumi, Elżbieta nauczyła się wcześniej ulegać surowemu prawu. Myśl jej wychodzi zawsze w welonie, słowa waży, bo na nie czyha podejrzliwe echo.

„Biedna królowna! kocha skrycie studenta *Fantazia*, przebranego za błazna królewskiego. Ale jej miłość tylko jak letnia błyskawica mignawszy cicho znika. Kiedy z lampą w ręku, jak *Psyche*, wchodzi do więzienia gdzie wtrącono błazna za to, że podstępnie zameście królowny rozzerwał; kiedy go spostrzeżga oswobodzonego ze sztucznych garbów, któremi się oszpecił żeby się do niej zbliżyć, pięknego jak *Kupido* w bajce, wzruszenie miłosne przebiega ją całą.. Ale wnet je poskramia. Wdzięczna za wyswobodzenie, daje więźniowi swobodę. „Idź mówi, a jak cię świat znudzi, powracaj znowu tutaj, ale nie bez tych garbów i nie bez błazeńskiego stroju.”

W teatrze francuzkim zmieniono to czyste zakończenie. Królowna Elżbieta kokietuje *Fantazia*, a kiedy mu daje klucz od ogrodu, zdaje się że też do jej pokoju się nadaje. Taki finał zmienia tę poetyczną komedią w dwuznaczną krotchwilę.

— Professor filozofii uniwersytetu paryżkiego Caro, wydał zajmującą książkę pod tytułem „*La Philosophie de Goethe.*” Autor w głąb myśli filozofa poety wprowadza czytelnika, wodzi go, krok w krok za zwrotami umysłu śmiałego, ciekawego, niewierzącego i ukazuje instynkt górujący w Goethem: odnoszenie psychologii, moralności i religii do czysto estetycznych względów. Goethe nie usnuł całej doktryny swojej. Poruszał jedynie idee, a piękne jego wiersze zdaniem pana Caro więcej posłużyły do zagniatowania filozoficznych wykładów niż do ich rozjaśnienia.

— Wyszedł trzynasty poszyt „*Słownika języka francuzkiego*” wydanego przez pana Littre. Ten poszyt kończy pierwszy tom, to jest dopełnia połowę tego ważnego dzieła. Pierwszy poszyt wyszedł w 1863 roku. We trzy lata więc Littre dociągnął do połowy pracę, do wykonania której siły jednego człowieka wydawały się niedostateczne. Cały rękopis był skończony zanim pierwszy poszyt poszedł do druku: sumienny Littre nie chciał narażać publiczności na posiadanie niezupełnego *Słownika*. Czytając te kolumny tak zbite, opatrzone tytuł objaśnieniami wyjętymi z najrozmaitszych nauk; tytuł cytacyami wyjętymi z dzieł pisarzy francuzkich różnych wieków; tyle etymologii z rozmaitych języków, dziwić się trzeba, że jeden człowiek może posiadać wiadomości tak wszechstronne i tak ogromną pracę sam doprowadzić do końca.

Drugi poszyt „*Słownika Akademii francuzkiej*” jeszcze się nie pojawił, i nikt go się teraz nawet nie domaga, mając słownik Littrego. Chociaż Akademia krzywo patrzy na tę publikację uwypatniającą jaskrawie jej lenistwo i opieszałość, nie ulega wątpliwości że po dokonaniu swęj pomnikowej pracy, Littre zasiądzie w gronie Nieśmiertelnych.

— Giuseppe Ortori wykrył w Medyolańskiej bibliotece Ambrożańskiej, ważny rękopis Leonarda da Vinci. Jestto rozprawa o malarstwie, spisana na 112 stronnicach pergaminowej księgi in folio. Dzieło to wyjdzie w Paryżu nakładem lady Evelyny Brighton. Jednocześnie zapewne okaże się jego francuzkie tłumaczenie.

